

K L A S Y K A .



Gabriela Zapolska

O CZYM SIĘ  
NIE MÓWI

universitas



O CZYM SIĘ  
NIE MÓWI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA





Powieść *O czym się nie mówi* traktuje o zjawisku prostytutki. Bohater – Krajewski – przewrażliwiony i nerwowy mizantrop, znudzony urzędnik zajmujący się podatkami, usiłuje wypełnić swoje puste życie lekturą filozofów i licznymi romansami z tzw. „porządnymi” dziewczętami. „Porządne” to te, które wdając się w romans są wierne swojemu kochankowi (oczywiście do czasu zerwania), zadowolając się skromnymi prezentami i poczęstunkami: najczęściej szwaczki, sprzedawczynie, dziewczęta z fabryk. Bohater przejawia prawdziwą obsesję na punkcie tak rozumianej „uczciwości” i cierpi na rodzaj agresywnej fobii wobec prostytutek. Krajewski poznaje Franię w czasie gorączkowych wycieczek po mieście w poszukiwaniu kolejnej partnerki. Od pierwszej chwili Frania „chwytą” go za serce. Jest nie tylko „czymś lepszym”, budzi w nim uczucia namiętności, ale także miłości. Związek rozwija się i umacnia. Krajewski nazywa Franię Porankiem, ona jego – Tatuńciem. Wynajęte mieszkanie dzięki staraniom Frani zaczyna stanowić dla obojga dom-azyl. Jedyne co budzi lęk bohatera, to aura tajemniczości, która otacza Franię...

Z całą pewnością powieść przepelniona jest pesymizmem. Prostitution została tu potraktowana jako problem społeczny, a nawet prawny, ale jednocześnie jako tragedia życiowa Poranka i mimo wszystko – Tatuńcia. Obluda i „swoista” moralność bohatera czynią go życiowym bankrutem, na którym los szyderczo się zemścił, stawiając znak równości między owym upragnionym przez niego „czymś lepszym” a prostytutką. Dziś pewnie byłaby to powieść o mężczyźnie po przejściach i kobiecie z przeszłością, wtedy była poruszeniem tabu, tego – o czym się nie mówi...

K L A S Y K A . .



**Gabriela Zapolska**

O CZYM SIĘ  
NIE MÓWI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA



Kraków

---

© Copyright for Klasyka...

by Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych  
UNIVERSITAS, Kraków 2002

Podstawą niniejszego wydania jest edycja:

Gabriela Zapolska, *O czym się nie mówi. Powieść współczesna*,  
Warszawa 1909.

Tekst zmodernizowano według obowiązujących zasad pisowni  
i interpunkcji.

ISBN 97883-242-1080-0

TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki serii

*Ewa Gray*

---

## I

- Doprawdy, chce mi ją pan odstąpić?
- Jak Boga kocham.
- Dojadła panu?
- Nie. Ale widzi pan, upatrzyłem już coś innego.
- Lepszego?

Konitz pogładził wychudłą ręką rzadką bródkę.

– Coś całkiem innego. Ale to... c a ł y k i e m. A potem co tam gadać. Ja się przyzwyczajam do kobiety, a to najgorsze, panie tego...

– ?...

– Jaki pan naiwny. Można się przyzwyczać do cygarniczki, do pióra, do pałta, i to wcale dobrze. Wtedy człowiekowi swojsko, gdy mu tak co pod ręką się ułożyło. Ale do kobiety – wręcz przeciwnie. Nerwy, panie tego... nerwy muszą być, panie tego, podrażnione, bo inaczej – ferfał die Klaczkes mit die weisse Kopytkes.

– Może.

Zapanowało milczenie. W tych obszernych, dusznych salach biurowych było nie do zniesienia. Stare piece, jak monumenta, wznosiły się po rogach. Bił z nich żar i czad węglowy. Konitz jednak chętnie przysuwał swoje biurko do pieca. Widać w nim było jakieś zastygające energie życiowe, które potrzebowały ciepła i drażniących nerwy wstrząśnień. Z miną małego kogucika, z oczyma podkrążonymi wcale niedwuznacznie, był typem biurowego pół mola, pół donżuana, puszczającego się galopem za spódniczką szwaczki lub lepiej odzianej sługi, którą wyczuł węchem, jak wyżeł zwierzynę.

– Ja, panie tego, tylko biuro i kobiety. Skoro pensję zafasuję, to... niech się strzegą... bo każda trup.

Była w nim łatwość sprowadzania życia do jakiejś jednej chwili, w której nie zdawał sobie sprawy ze swego istnienia. To było osią jego egzystencji. Poza tym nic więcej nie interesowało go.

Krajewski odłożył pióro, wsunął ręce w kieszenie od spodni i, odepchnąwszy się z krzesłem od biurka, patrzył posepnie na całe masy „kawalków” zalewające melancholijnie blat biurka. Deszcz padał cienkimi strugami i dzwonił dziwnie w szyby. – Inni urzędnicy siedzieli cicho, pochyleni nad aktami. Czasem ktoś wstał, przeszedł do drugiego pokoju. W oddali słychać było gwar głosów kobiecych. – To panny, pracujące w biurach, śmiały się z czegoś głośno. Krajewskiego przecież nie interesowały. Były to dziewczęta „uczciwe” i dążące „do ołtarza”. – On żenić się nie myślał, a w duszy miał trwogę przed wciągnięciem dziewczyny w jakiś nielegalny stosunek. – Był przecież po prostu zgłodniały jakiejś miłości, a choćby jej pozoru. – Od całych miesięcy pograżył się w czytaniu z cichą i skoncentrowaną namietnością, która cechowała zawsze wszystko to, co robił. Rzec można, iż uczepił się tej powolnej dysekcji duszy przez obce mózgi, która ma dać wreszcie poznanie esencji logicznego skojarzenia myśli. – Doznawszy niemilego zawodu z powodu kobiet, rzucił się wpław w dziedzinę abstrakcji i zaczął pływać w błękitach, rozpostartych ponad dymami, wznoszącymi się z ołtarzy, gdzie ciała ludzkie składały całopalenie swym zachceniom i dążnościom. Kobieta przestała istnieć dlań. Istniał tylko Kartezyusz na razie i jego R o z m y ś l a n i a. Mało to było, skromnie. – Czuł to sam. – Lotny był i rączy umysłowo. Lecz i leniwy. – Dreptał jakby w przedpokoju, nawet nie przedsięwzięcia prawdziwych R o z m y ś l a ń. Na razie mu to starczyło. – Nie miał siły na więcej. Przeżuwał dawne. – Powracał wieczorami sam do swego pustego pokoju i rzucał się na szeroką starą otomanę, która mu zastępowała łóżko. Obok stał kufer. Na nim Krajewski umieszczał prosty lichtarz ze świecą i otwierał książkę. Żółtawe, chorobliwe światło wydobywało na jaw jego dziwną, niepospolitą twarz, długą, wykrojoną starannie, z przepychem wielkich, szarych źrenic o ciężkich dużych powiekach. – Jasne dość włosy nosił przycięte prawie przy skórze. – Pełne wyrazu usta okalał miękki, krótki zarost. Wyniosły był, rasowy, doskonale ułożony, chudy, o ruchach powolnych, jakby smutnych, a pełnych prostoty. Gdy tak leżał w tym pustym prawie

pokoju pochylony nad książką, nieruchomy, miał w sobie coś z mędrca, posiadającego już w duszy moc wyrzekania się wszystkiego, co nie jest głębią doskonałości zupełnej.

Czasami zjawiała się we drzwiach rozczochrana, typowa postać kamienicznej stróżki w obszarganej spódnicy i z dzieckiem na ręku.

– Może co przynieść?

Krajewski powoli odrywał swe wspaniałe źrenice od pagórków mądrości Kartezjusza.

– Co?

– Może wielmożny pan da na co.

– A!...

– Są w grajzlerni szproty, masło. Ugotuje się jaja.

– A no dobrze! dobrze!

Lecz Romanowa nie ruszała się z miejsca.

– Pan wie... moją Mańkę znów poniosło.

– No?

– Jak Boga kocham. Mówiła żona krawca, że widziała ją na gumach i w nowym kapeluszu. To morowa cholera. Żeby ją choć gdzie przytłukło, albo niechby się już raz do policji dostała.

– !!!

– A no tak. Wezmą, zapiszą, jak to bydlę, a ja już wtedy wiem, że niby ani dziecka nie mam, ani nic.

Krajewski odłożył Kartezjusza.

– Co wy też?

Ale rozżalenie Romanowej było wielkie. Pięścią uderzyła w piec i trząsnęła dzieckiem tak, że zdawało się, iż rozleci się na kawałki.

– Co ta... ona nawet nie winna tak Bogiem a prawdą. Toć to za nią pod kamienicą latali, że tylko ukropem lać... Sam pan...

– Ja?

– A no. Niby pan tak ostatecznie tam nie. Ale nie zaczepiał ją pan... nie? co? Przecie dziewczyna nie z kamienia. Wam, mężczyznom, to się zdaje, że to wszystko nic, a to tak ziarno do ziarnka i ot po dziewczynie.

– Uspokójcie się, wróci.

– E! wiem, że wróci, bo taki to już kobiecy los. Taki jeden odbierze uczciwą sławę, a potem won... A co mi po takiej... To tylko śmiech...



Trzasnęła się pięścią w potargany łeb. Dziwaczna jej sylwetka miała na cieniu pozory Gorgony. Cała jej postać gięła się jakąś wielką rozpaczą samotnych wiersz tragicznych i rozczochranych na tle beznadziejnego nieba. Krajewski mimo woli patrzył na nią.

– To bardzo nawet przez pana... – zaczęła znowu. – Ten Żyd, co się tu do pana włóczy w takich hyclowskich sprawach, że – no, to on mi ją zmanił. Kiedyś napadłam, jak ją coś kusił w bramie. Żeby się tu był do pana nie ściągał, to byłby ją nie spotkał... A teraz ją tam gdzie musiał sprzedać... A jakże...

I nagle żal wezbrał w niej, aż ryknęła całym głosem:

– A ino... sprzedał... dziecko moje... krew moją... Żebyście z piekła nie wyrzeli za nią wszyscy...

Krajewski podniósł się z otomany i usiadł na brzegu jakoś dziwnie zmieszany.

– Ależ, moja Romanowa, ja wam przysięgam, że ja z Mańką nic nie miałem.

– Bo nie chciała!... Ale żeby się zgodziła, to byłbyś pan, tak jak drudzy, ją sponiewierał.

Straszna była tak w cieniu, z twarzą nabrzmiałą, z plamami ócz spod brzegu chustki.

– Czego wy się do porządnych dziewczyn czepiacie? czego? – jęczała – mało wam już takich, coście je zatracili? Nie, wam się zachciewa takiej, co jeszcze przy matce... o...

Nagle zaczęła trząść trzymaną na ręku dziewczynką.

– Ażeby ciebie sto cholery zatłukło! Czego ty na świecie, na żer dla jakiego, a potem na ulicę, pod latarnię. Ażebyś zdechła!

Zaczęła bić głową dziecka o piec.

– Ażebyś za niewinnej duszy skoła!

Krajewski rzucił się dziecku na ratunek.

– Romanowa... co wyprawiacie? chcecie dziecko zabić?

– O! teraz to ją pan ratujesz, a jak dorosnie, to ją pan sam sponiewiera i potem popchnie, aby ją na policji zapisali i aby gdzie na barłogu zgniła... Już panowe serce niechby szczezło i was wszystkich psiakrew dziwkarzy!

Krajewski postawił płaczące cicho dziecko, cuchnące w masie barchanów. Dziecko było brudne i Krajewski, który miał w sobie estetykę czystości kociej, z odrazą spojrział na swoje ręce.

– Moglibyście lepiej dziecko umyć! – rzucił przez zęby.

Ale Romanowa spojrzała na niego z nienawiścią, jakby w nim koncentrowali się ci wszyscy, którzy na sznurach swych rozpasanych nerwów wlekli od wieków dziewczęta do błotnistych jam.

– Właśnie... – odparła – będę ją cackać i pięknić, abyście mieli ładniejsze łajno dla swojej uciechy i żeby Żyd za nią więcej faktornego wziął, jak wam ją nastreczy. – Porwała puszczone dziecko i otworzyła silnym pchnięciem drzwi.

– I żeby was jaki mór spotkał.

Postała chwilę we drzwiach tak na rozcież otwartych. Zgnile zimno buchało i ciemnica była w tej sieni straszna.

– A co mam przynieść? – odezwała się wreszcie już głosem stłumionym, choć drgały w nim jeszcze resztki wściekłości, szarpanej w najboleśniejszej strunie, bo swego macierzyństwa istotcie.

– Nie trzeba nic! – odparł szorstko Krajewski – wyjdę na kolację z domu. Lepiej zaświećcie w sieni.

Baba obejrzała się na niego ruchem drażnionego szpicrutą głodnego zwierzęcia.

– My bierzemy dwa guldeny miesięcznej pensji, jako stróże, i za to mamy kupować naftę na schody... a pan chce, żeby się świeciło od czwartej... I zaraz...

Znikła w ciemnicy, zatraskując drzwi za sobą.

Krajewski podjął rzuconego na ziemię Descartesa i chciał zanurzyć się w tym ojcu filozofii scholastycznej, który wyprowadził na scenę dualizm i dał szalonym miecz w rękę.

## II

Lecz nie był w stanie.

Krzyk Romanowej, jej potworna sylwetka, wrzask rozbijanego dziecka, a potem głębia jej słów – sprawiła na nim jakieś gniotące wrażenie. Przede wszystkim czuł, że ta kobieta, wyjąca za swą córką, pędzącą w kał prostytucji, ma słuszność, że jest w swoim prawie, że ona właśnie stoi na straży świętości wolnego ciała kobiecego, które, skopane, sprzedane, rozwłózione po pieklach upadku,

zatraci szlachetne porywy tego słabego duchowego płomyka, jakie w sobie mieć mogło.

Tak – on był winien i jemu podobni.

Nie dlatego, że szukał ujścia swym popędem w nielegalnych związkach. Lecz właśnie, że pragnął, aby te miały choć pozory z w i ą z k ó w, te chwile zapomnienia, te „wypicia szklanki wody”, jak nazywają inni stosunek swój z kobietą. – Wykwint i jakiś instynkt samozachowawczy odtrącał go od tych, co pod latarnią tak sują swe nieszczęsne ciało. Nie. – On pragnął mieć jakieś złudzenie, gdy obejmował postać kobiecą i tulił się do niej. – Kilka „romansów” z kobietami ze świata, czczych lub pełnych nietaktów, głupoty i niesmaku, odtrąciły go na zawsze od tego sortu, podatnych dla chodzących manowcami mężczyzn. Przy tym był romantycznie leniwy i czuł dziwny wstyd i smutek, że musi wylawiać złodziejskim sposobem to, co mu się równie w życiu należy, jak pożywienie, napój, promienie słoneczne i tlen do oddychania.

Pozostawały mu więc te drogi pośrednie, te szwaczki powracające do domów o zmroku, zmęczone, zdenerwowane od szycia na maszynie, pół dzieci, pół kobiety, często zgłodniałe, marzące o filiżance czekolady, o ciastku z kremem, z łakomstwem wygłodzonego kota. Była to armia bezbronna, tragiczna, głupia, nieopatrna, świeża, choć już nadwędła od atmosfery dusznych pracownianych izb. Twarzyczki, obramowane włosami starannie ufryzowanymi, staniki woniejące potem i perfumami, a dołem spódnicę cuchnące od błota źle wykruszonego, od długiego codziennego użycia.

Szło to wieczorem powoli, rozprostowując zmęczone plecy, przecierając słabnące już oczy.

Naprzeciw nich szedł jeden, drugi, trzeci Krajewski, niosąc tym bezbronnym swe żądze przystrojone w kwiaty jakiejś niby uczciwości.

Gdy szwaczek nie stało, były jeszcze bony, sklepowe, dziewczęta zajęte w administracjach. – Skoro zjawiała się gdzieś jakaś świeża, nieznaną, mająca jeszcze przesąd swej uczciwości do stracenia, sygnalizowana była na wszystkich punktach.

– Tam i tam jest jedna uczciwa. Ach! wreszcie.

I rozpoczął się pościg.

Dziewczyna naturalnie nie opierała się zbyt długo. Szła na lep chętnie, znudzona, zmęczona, rada, że „się trochę rozerwie”. – Więc przede wszystkim występowały na plac cukierenki uboczne, drugorzędne, gdzie nikt nie widzi, potem bilety do teatru, dalej jakieś bluzki taniutki, pierścionki skromne, drobiazgi, grzebienie z celuloиду i szczyt marzeń: jedwabna halka.

Wreszcie po długich wahaniach przyjdzie w niedzielę po południu do kawalerskiego pokoju, gdzie dobrze napalone w piecu, jakaś słodka wódka, trochę szynki, herbata na maszynce.

I cichy krzyk dziewczyny, jakby pomieszany z radosnym powitaniem nowego życia.

Potem szereg takich niedziel, potem jakiś zatarg i znów nowa cukierenka, nowe grzebienie z celuloиду, nowe służenie za tę jakoś „coś lepszego”, co daje pewną uludę zwierzęcej czysto chwili.

Tak – to do pewnego punktu.

A potem?

Rzeczywiście. Tak jak owa Mańka. – Snują się faktorzy. Sława atlasowej skóry, pięknej karnacji, ładnych kształtów rośnie.

I snują się faktorzy.

Dziewczyna jest zniechęcona, zgorzkniała. Ten i ów całujący ją nawet po rękach wykazał się w jej oczach prostym brutalem.

I co jej przyszło z tego?

Była już w kilku rękach. Żaden nie zatrzymał jej dłużej przy sobie. Jest w nędzy, a ta cukierenka i skromne bluzki zaczynają jej nie wystarczać. Czuje, że właściwie jest p ł a c o n a, bo ta miłość, którą tacy Krajewscy jej dają, nie jest wcale miłością, ale nędzną grą i oszukaństwem.

– Niech przynajmniej mam co za to!

Oto pierwsza myśl.

I idą tam, gdzie oczywiście mają co za to.

Idą tam, ale właściwie kto je pchnął „tam”?

Krajewski odłożył powoli książkę na kufer i patrzył teraz w sufit, leżąc wyciągnięty na sofie.

Pchnął je on i jemu podobni.

A potem, gdy już są sklasyfikowane, opodatkowane, gdy już stanowią inwentarz państwowy i pracują usankcjonowane i konieczne, odwraca się od nich z dreszczem pogardy i wstrętu.

Dlatego, że obraża się w nim poczucie wyłączności. I że pragnie, mimo wszystko, tego „błękitnego kwiatka” w sprosności grzechu.

Jak wywołane zakłębciem z jakichś bagien gnijących, zięją ku niemu wspomnienia tych, które tutaj przeszły, które miał pomiędzy Dantem i Kantem, Biblią i Platonem, pomiędzy napadem melancholii i staniem u kresu rozpaczy życiowej. Przesuwały się martwe i blade. – Miały niektóre nawet wdzięk i jakąś prostotę w swych pieszczotach. – Mając sam sposób postępowania z kobietą wytworony, pomimo ubóstwa otoczenia, nakazywał każdej ze swych kochanek jakiś ton o jeden stopień wyższy i nie dozwalał jej z niego się zsunąć. A może zdawało mu się. Był bowiem bajecznie subtelny i w każdej najbanalniejszej chwili umiał odnaleźć ukryty na spodzie diament, który według woli oświecał kolorami, czerpanymi we własnym nastroju. Leżąc tak, przechodził myślą nie tylko wspomnienia, ale i całokształt postaci tych kobiet. – Były przeważnie młode i miały ładne uśmiechy, ładne linie karków, ramiona wdzięczne nimf, stopy często delikatne i niezdeformowane, włosy puszyste i miękkie, płynące swobodnie po trochę chudych a dziwnie wygiętych plecach. Ta umiała wpijać się w usta nienasycenie, ta tuliła mu się do ramienia senna i zmęczona, ta znów przygarniała go na swe kolana i kołysała, jak małe dziecko, ta całowała go po rękach, obsypywała go tysiącem zdrobniałych śmiesznych imion, które miały czar zerwanych nieśmiało rosnących kwiatków..

Wszystkie były bezinteresowne, zadowolając się drobiazgami, wdzięczne za starania, znikające z jego życia bez awantur i tragedii.

A przecież ziało do niego jakby zgnilizną bagien, świeżo poruszonych potężną ulewą...

– To słowa tej starej! – myślał – to ona...

I po chwili zawieszenia myśli, dodał:

– A przecież ona miała rację.

– Nie powinienem! Trzeba te l e p s z e zostawić w spokoju. Na to są już poświęcone tamte spod latarni. – Lecz pokręcił głową.

– Nie mam już dwudziestu lat... to nie dla mnie.

Sięgnął po książkę. Zgarniał ku sobie swą ciszę samotną, w której się rozkoszował z wykwinem sybaryty. Na próżno. Po kilku minutach rzucił ją znowu z niechęcią.

– Po co mam czytać o dualizmie i tracić czas na przeżuwanie dowodów. Najlepszy dowód jest mój stan obecny.

Zaczął febrycznie odziewać się. Staranny był w odzieży. Nosił długopole surduty, które coś nadawały mu z cech trzydziestego roku. – O ile nie dbał o to, gdzie przebywał, o tyle bezwiednie dobierał to, w czym przebywał.

– Pójdę do knajpy, a gdy się trochę ogłuszę muzyką i ludźmi, wrócę do swoich książek...

W głębi duszy, w bardzo wielkiej głębi, tam, gdzie chowają się te myśli i postanowienia, które już się stały, zanim się stały, w świecie rzeczywistym coś szeptało:

– Niedługo będzie tu dziewczyna...

Szarpnął się.

– Nie chcę. Niech je diabli. Ma tam znów za nią jaka matka ryczeć...

A tam w głębi szeptało:

– Ach, nie bądź tak wrażliwym. Jutro, pojutrze – będzie tu znów dziewczyna...

A gdy już drzwi zamykał i do ciemnej sieni wchodził, to „coś” rozswawolone podśmiechiwało się jakby:

– I znów będzie... coś lepszego!

Aż przystanął. Rękę położył dziwacznym gestem, jakby jakąś przysięgę składał.

– To nigdy! – już wolę nic albo jaką męźatkę; albo moich filozofów.

Ale czuł wybornie, że nie woli.

I że tak będzie, jak być ma.

### III

Dlatego też, gdy zaraz nazajutrz z wielkim cynizmem i spokojem Konitz ofiarował mu ni stąd, ni zowąd swoją dotychczasową kochankę, ani na chwilę nie przyszło mu na myśl – odmówić.

I owszem. – Przyjął zaofiarowanie uprzejmie, jakby rzecz naturalną. – Ci dwaj panowie od biurka do biurka ustępowali sobie

kobietę i jej pieszczoty i wszystko, co jej było, tak jakby ustępowali sobie laskę albo jakiś inny przedmiot, którego jeden miał już nadto, a drugi potrzebował. – Przy szmerze ciekącego po szybach jesiennego deszczu, w zimnie i szarudze zanurzeni w duszne ciepło biura z jego nudną i śmiesznie ogłupiającą farsą rozmaitych hec oceniowych, dopełniali swej szarej, monotonnej egzystencji tym bezpłatnym handlem, jaki pomiędzy sobą prowadzili.

Pierwszy znów ozwał się Konitz:

– Więc kolega chce ją naprawdę?

Krajewski, nie zmieniając pozycji, odparł obojętnie:

– Chcę!

Po chwili przecież dodał:

– Kto to?

– Szwaczka.

– To dobrze.

Konitz powstał i zbliżył się do niego.

– A cóż kolega myślał? że co?

– Nic. A dawno się puszcza?

– Czy ja wiem! Powiada, że nie. Ale kto tam może co wiedzieć.

Grunt jest tylko w tym, abym był jeden. Prawda? – No naturalnie, że wolę, że jest tak, jak jest. Ale... jeden. O! to grunt.

– Dużo pan na nią wydaje?

Konitz się zachłysnął.

– Coś tam, ale prawie z miłości. Wierna mi jest...

– A skąd pan masz tę pewność?

– O! z takimi dziewczętami wiedzieć zawsze można. To jeszcze szczerze. Dopiero później nauczy się kłamać. Przyprawdę ją panu jutro. Albo czekaj pan. Zrobimy tak. – Przyślę ją do pana i powiem, że sam przyjdę. – Kup pan co bądź, kota, kanarka. One mają pasję do zwierząt. Więc wmówię w nią, że będziemy oglądać. – Ona przyjdzie, a ja nie...

Śmiał się i ręce zacierał.

– Co dobrze? będziecie czekać, czekać – no a pan tymczasem skorzystaj. Gdy już stanie mi się niewierną, skończy się wszystko. Jest bardzo... jakby to powiedzieć... romansową. – Przeniesie swoją romansowość na pana. – Przeprowadzka nie będzie ją wiele kosztować. Co?

Krajewski kiwał głową.

– Dobrze.

Chwilę ogarnął go niesmak, że on to właśnie ma dziedziczyć tak bezpośrednio metresę po tym małym, czupurnym i trochę brudnym kogucie. I ogarnął go znowu smutek szary i beznadziejny.

– Więc jutro o trzeciej?

– Dobrze.

Konitz jednak nie odchodził. Kręcił papierosa brzydko i szukał po kieszeniach zapalek.

– Ta moja nowa... – zaczął znowu – to sklepowa. Gdzie? nie powiem panu, bo jeszcze byś mi ją odebrał. Nawet prowadzi się dobrze. Jak Boga kocham. Miałem masę trudu, żeby ją sobie zrobić. Nawystawiałem się pod sklepem, a szczególnie w deszcz. – Pan się dziwi? E! to pan nowicjusz. W deszcz najłatwiej się takie sprawy załatwiają. Taka dziewczyna jest przede wszystkim jakaś znużona, smutna. Potem wychodzi na wicherę, na słotę. Błoto, ciemnica – przejmują ją strachem. Zawsze się zatrzymuje przed bramą i waha się chwilę, jakby nie wiedziała, gdzie iść. – Na dorożkę nie ma, a tak by chętnie w nią wsiadła. Więc podsunąć się wtedy – powiadam panu. Dusza szczerza. I nie być natarczywym. Broń Boże! tylko tak... niby że smutno, że tak okropnie jakoś... Ja tak tę moją wziąłem i tę, co ją panu dam, i tę, co ją będę miał.

Uporał się wreszcie z papierosem i stał teraz, kołysząc się przed Krajewskim, który patrzył znów przed siebie cichy i jakby skupiony w sobie.

– Bajecznie dużo mają w sobie sentymentów!... – skrzywił znów Konitz – ale to dla nas lepiej. I widzi pan, właśnie woda na nasz młyn. Bo niby kochają się, a jak kochają, nie zdradzają. Bezpiecznie dla nas i dobrze. Cóż pan nic nie mówi?

– Nic. Słucham!

– I ma pan rację. Ja kobiety na pamięć umiem. Tylko popatrzę, oho! już wiem, co ona warta. Mnie nigdy żadna nie nabierze na fałszywą minę. Czasem idzie taka, że przysięgniesz, to coś dla nas, a tu, panie, to już takie coś, co to splunięcia niewarte. – Mam taki wdech. Zaraz odróżnię. Ja w całym mieście wiem, gdzie jest jeszcze takie jakieś, co ma coś do stracenia. Tylko przekonałem się, że źle wam dawać adresy. – Lepiej samemu, po kolei.



Krajewskiego ogarnął jakby śmiech.

– Bój się pan Boga, a cóż będzie, gdy już żadnej godnej pana nie będzie.

Mały Konitz pokolysał się trochę, zmrużył oko, namyslił się, wreszcie odrzekł.

– Wtedy się ożenię!

– A!...

– Tak – tak.

Zapanowała cisza, tylko w oddali słychać było dyskretny, monotony głos jakiejś pani, skarżącej się, że jej kazano zapłacić dwa razy jeden i ten sam podatek.

– Z tysiąc dziewięćset pięć... osobisto-dochodowy – czternaście koron i coś... dwa razy.

– Tak – podjął znów po chwili Konitz – ożenię się. I wtedy dopiero dobioreę sobie kobietę taką, jaka mi się należy. – Bo, choć wybieram bardzo starannie, co sam pan przyznać musi, i każda jest nie byle co i przyzwoita dziewczyna, to przecież jeszcze nie to, czego pragnę. I widzi pan, jak patrzę na pana tu u nas w biurze, to myślę sobie tak. – Pan tutaj po co? – Skończył pan dwa fakultety i jest pan w biurze podatkowym! To samo ja. – Co do kobiet – to jakbym skończył dwa fakultety. Znam się – no! – z oczami zamkniętymi powiem panu, co to. – A przecież muszę poprzestawać na szwajkach, na sklepówkach... To zupełnie jak pan, pochylony przy tym biurku, zamiast być w dyplomacji albo gdzie...

Krajewski uśmiechnął się słabo.

– Ja czuję się zadowolony.

– No... i ja muszę także się zgodzić z losem. Ale daję panu słowo, że czasem pasja mnie ogarnia taka na te kobiety... że byłbym je.

– Prosty sposób. Zostawić je w spokoju. Ja na przykład teraz. Cztery miesiące nie spojrzę na żadną.

– E! pan jesteś, jak nasz szef kiedyś powiedział, figura fantastyczna.

– Tak szef powiedział?

– Jak Boga kocham! A przecież i pana ciągnie, bo godzi się pan, żebym mu tę, co mam, teraz odstąpił.

Krajewski zastanowił się.

- Prawda! – odparł po chwili – ani rusz zwalczyć zwierzę.  
Konitz ramionami wzruszył.
- Co pan mówi! komunały! Zwierzę? Kto? Chyba taki, co idzie przeciw prawom natury, a nie taki, co żyje, jak powinien.
- Tak... ale widzi pan... Ja myślę, że te dziewczyny później –
- Co później? co pana to obchodzi. Byle nie być pierwszym. Bo to rzeczywiście troszkę tego coś na sumieniu. Ale niby potem?
- No tak. Ale taka dziewczyna raz padnie. Dobrze. Ale potem, gdyby nie ja, gdyby nie pan, mogłaby...
- Co? co?
- No... inne życie.
- E! śmieszne. Jakie życie? – Czy pan powstrzyma kamień, co leci z góry. – My musimy przecież jakoś nasze kawalerskie czasy przebiedować. Trudno – księżniczki nie dla nas, a już trudno, żebyśmy po byle co sięgali.
- Więc te dziewczęta, to jak parasole – od deszczu.
- Ha, no... niby...
- Aż wyło jakąś szarą ohydą z kątów i z całej tej rozmowy, która Krajewskiego napelniała straszonym, chorobliwym niesmakiem. Dama pokrzywdzona przez c.k. urząd podatkowy, nie zmieniła ani na chwilę tonu, ciągle monotonna mówiła swą skargę, a deszcz siekł po szybach z jednaką zaciętością.
- Konitz zdecydował się wreszcie powrócić do swego biurka.
- No... jakże? Czy mam ją jutro przysłać? – zapytał, odchodząc.
- Proszę! – pochylił się z kurtuazją Krajewski, jakby przyjmował jakiś dar, który do tej chwili był tamtego prawną własnością.

#### IV

Bez entuzjazmu wszakże Krajewski czynił nazajutrz przygotowania na przyjęcie tej „od Konitza”, jak w myśli nazywał odstąpioną sobie dziewczynę. – Kupił trochę ciastek, pół butelki maraschino krajowego wyrobu (bo tańsze) i troszkę gwoździków. – Kanarka ani kota nie kupił.

– Po co? – myślał – gdy przyjdzie, powiem jej, że uciekł. Gdy już uprzątnął trochę, usiadł na swej otomance i chciał czytać. Lecz nie był w stanie. Widział kiedyś na wsi starą dziwną kapliczkę, zamkniętą i pełną jakichś niewypowiedzianych wiekowych tajemnic. I koło tej kapliczki stała krowa, zwykła chłopska krowa i tarła swe rogi o ciemne, pleśnią pokryte ściany. – Krajewski aż targnął się na ten widok. – I teraz mu było tak jakoś, gdy o tej godzinie chciał skrócić sobie czas czytaniem Biblii.

Coś zapukało do drzwi. – Byłby wołał w tej chwili, aby to się nie stało. – Pukanie było szorstkie, nieprzyjemne.

Wstał powoli z otomany. Otworzył drzwi. – Usunął się.

Dziewczyna weszła.

– Pan Konitz jeszcze nie przyszedł? – spytała od progu.

– Nie. Ale pewnie zaraz nadejdzie. – Może pani zechce usiąść, odpocząć.

Silił się na grzeczność i dobry humor. Ogarniał ją równocześnie wzrokiem. Nie podobała mu się. Była duża i koścista. Twarz miała płaską i nieprzychylną. Czuć było łatwo, że jest jakby zniechęcona i musi być podejrzliwa. Brunetka była silna, a cera jej miała żółtawe tony. Tylko czoło jej było silnie zarośnięte w pięć zębów i brwi, jak skrzydła jaskółcze, zarysowane cudownie. Odziana była ubogo, bezpretensjonalnie, w cienkim żakiecie i słomianym letnim kapeluszu.

Widocznie Konitz nie rujnował się na swoją metrese.

– Niechże pani wejdzie! On zaraz się zjawi!

Weszła wreszcie i obejrzała się dokoła. – Ascetyczna abnegacja Krajewskiego była dla niej źródłem pogardy.

Nie wymówiła jednak swej myśli, tylko wyduła wargi.

I tak stała, milcząc.

Krajewski uczył, jakby jakiś ciężar walił mu się na ramiona.

– Niech pani siada.

– Gdzie?

Nic nie zdoła oddać tonu, z jakim to „gdzie?” zostało wyrzeczzone.

Krajewskiego zaczęła nagle bawić grandezza obdartej dziewczyny. – Swoją właśnie abnegację form i drobiazgow, które uważał za balast niepotrzebny w życiu, cenił tak wysoko, iż ktoś, okazujący

mu z tego względu jakieś tony, przejmował go śmiechem i litością.

– Tu... na tej perskiej otomanie, podawczy mi poprzednio swą cudowną łapkę.

Lecz dziewczyna zacisnęła swe ręce w zjedzonej przez mole mufce i usiadła sama na brzeżku sofy.

– Tu u pana pusto! – zaczęła – nie ma firanków. Czemu?

– Nadejdą mi meble – ze wsi – z majątku.

– Tak? to co jenzego.

Nalał jej kieliszek maraschino.

– Proszę... może pani pozwoli.

– Dziękuję. Ja wódki nie pijam.

– To nie wódka. To likier.

– Zawsze... spirytualia.

– Czy pani przysięgała?

– Także coś!

– No... myślałem. Bo teraz to poczwórna jest wstrzemięźliwość.

Eleusis. Słyszała pani?

– Nie znam.

– A wie pani, od czego się przysięga. Od pijaństwa, od kart, od palenia i od... kochania.

Duża dziewczyna aż podskoczyła.

– I... co pan?

– Naprawdę. Tak ludzie przysięgają.

– Dzie?

– Jedni przed drugimi.

– Chyba u czubków.

– I ja tak myślę. Jeszcze od kart, od wódki, od tytoniu można by się wstrzymać, ale od kochania? Co? jak pani myśli? panno... jakże imię?...

Usiadł przy niej i zaglądał jej w oczy.

– Niby mnie?

– Aha!

– Stefcia. Ale mnie nazywają Funia.

– Ślicznie. Funia, Funiusia, Funiusieczka...

Modulował głos, a tymczasem myślał, że ta Funiusia jest gruba, niemiła i że nie wiadomo jak się do niej zabrać i jakiego tonu użyć.

Na owe bowiem spieszczanie swego imienia zmarszczyła brwi i wydeła znów usta.

– Pan to też... poufały! – odcięła się dość ostro. – Czemu ten Józek nie przychodzi? Pan ma podobno uczonego kanarka. Gdzie jest?

Krajewski się roześmiał.

– Uciekł mi dziś rano! Ale dlaczego pani tak koniecznie chce zobaczyć tego Józka? Do czego nam on potrzebny? Czy to nam źle we dwoje?

Nie odpowiedziała nic. – Patrzyła uporczywie w ziemię. – Zaczynało się powoli ściemniać i po kątach rozwłóczyła się jakby mgła.

– Niech pani zje choć ciastko... – próbował znów Krajewski.

Ale nie poruszyła się nawet. Tylko cała zdawała się przemieniać w słuch. – Łowiła z daleka szmery w sieni. Widoczne było, iż z wytężeniem oczekuje Konitza.

Krajewski czuł się dziwnie zderutowany i wysadzony z siodła, on, zawsze pełen elokwencji i romantycznych wynalazków wobec dziewcząt, które osiąść pragnął. – Teraz patrzył na jej włosy sztywne jak druty, pozlepiane i coraz mniej czuł do niej pociągu i chęci. Pragnął nawet, aby istotnie Konitz namyślił się i przyszedł zabrać „Funię” – z powrotem. Lecz Konitz się nie zjawiał, a natomiast Funia odwróciła się nagle ode drzwi i spojrzała ostro na Krajewskiego.

– Pan i on jesteście dwa łajdaki! – wyrzekła dobitnie.

Było to niespodziane i dziwne. – Krajewski zaprzeczył gorącym gestem.

– Co pani?

Ale ona aż poczerniała od złości.

– Dwa łajdaki! – powtórzyła dobitnie – przecie mnie nie oszukacie. Konitz mi tu kazał przyjść, żeby mnie panu wpakować. Bo ma mnie dosyć. Ja to widziałam. Ja mam na tyle sprytu. Jakem tu weszła, to zaraz z pana miny poznałam, co się święci...

Zatknęła sobie mufką usta, jakby tłumiąc łkanie, które gwałtem darło się z jej piersi.

– A to hycel! – dodała tylko.

Lecz Krajewski skorzystał z okazji.

– A więc tak! – wyrzekł – Konitz nie przyjdzie, bo chciał z panną Funią zerwać.

– Ale czemu? przecie ja nic od niego nie chciała! czemu?

Patrzyła mu prosto w oczy. Zmieszał się. Nie umiał jej odpowiedzieć, dlaczego tamten odpędza ją wierną, ubogą, oddającą mu się bez żadnych zastrzeżeń.

– Nie wiem... nie wiem... ale niech się panna Funia uspokoi. Co tam Konitz! Czy to on jeden na świecie. Ja sam!...

Siedziała nieruchoma, a na nią zapadał cień i owijał ją powoli.

– Czemu? – powtórzyła raz jeszcze.

Przysunął się do niej, objął ją. Zdawała się nie zwracać uwagi. Była bez gorsetu i Krajewski uczył, że pomimo pozorów trywialnej budowy miała dość ładne kształty. – To mu wystarczyło. – Dante i Descartes, filozofia i czar słowa wionęły daleko. Pozostała tylko kobieta. – Jakieś łagodne, właściwe mu uczucie, graniczące z sentymentem, ogarnęło go.

– Funiu! – zaczął i, znalazłszy kawałek jaśniejącego ciała pomiędzy kołnierzykiem i policzkiem, zaczął całować go namiętnie.

Ona nie odpychała go. Wytarła przez ten czas nos i wreszcie wyrzekła jakby do siebie.

– Co ja teraz będę robiła.

Trzymał ją zupełnie przy sobie i delikatnie zdejmował jej kapelusz.

– Zostaniesz ze mną! – wyszeptał jej prawie w ucho.

Lecz ona teraz jakby się zbudziła.

– Co pan? co pan chce? – zaczęła ostro – pan myśli, że ja tak od jednego do drugiego... Niech mi pan da spokój!

– Kiedy on cię nie chce...

Nie odpowiedziała nic, tylko patrzyła znów we drzwi i znów zmieniała się w słuch.

Krajewski wstał, zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju. Sytuacja stawała się dziwna. Nie przypuszczał, że będzie taka.

Stanął wreszcie przed nią zdecydowany nie wypuścić tej okazji z ręki. Przed chwilą nie pragnął jej wcale, obecnie ten opór podniecił go.

– Funia powinna ukarać go i zemścić się! – zaczął – tak by zrobiła każda kobieta.

Milczenie.

– To mu najwięcej dokuczysz. Niech Funia się we mnie zakocha, co?

Obrzuciła go długim spojrzeniem, po czym odwróciła z niechęcią głowę i dalej we drzwi patrzyła.

Krajewski zadziwił się niepomiernie. – Nie miał wiele w sobie zarozumiałości, ale sądził, iż nie wytrzyma rasowości swoją porównania z małym i śmiesznym Konitzem. Tymczasem Funia osądziła inaczej.

– Chyba, że panna Funia nie ma ambicji! – zaczął z finezją.

Ona odezwała się wreszcie:

– To nie to.

– A co?

– Tylko... że tak zmieniać. Ja przecie nie myślałam. Ja się zgodziłam, ale zawsze przecież...

– Panna Funia stała w miłości, to ładnie.

– No... a jakże!

Miała jakiś pewien czar w odezwananiu się tym, czar istoty, ściągającej swoje ja, jak płaszcz pod nogi komuś, kto tuli i pieści. Krajewskiemu zrobiło się nagle jej żal. Uczuł, że pod tą szorstką powłoką kryć się musi jakieś lepsze serce, pragnące, jak pies, pana i dobrego słowa.

– Panna Funia sama? – zapytał.

– Jak to – sama.

– Bez rodziców.

– Ja – sierota!

To było proste, krótkie, nawet szorstkie, ale było.

Jedno słowo – cały świat.

Wszystko.

Krajewski znów zaczął chodzić po pokoju i od czasu do czasu spoglądał na Stefkę. – Nie siedziała teraz już wyprostowana i harda, tylko skurczyła się i niejako zatonęła w sobie.

Krajewskiemu przez umysł przesunęły się słowa Nietzschego:

– Wszystko, co żyje, podlega czemuś...

Tak. Lecz nikt, tak jak kobieta, nawet chwilowo z pewną gracją składać umie swą energię i wolę. – To brzydkie, strzępiaste stworzenie w skurczeniu swym umiało już zaznaczyć ten wdzięk. Podle-

gała temu, który ją porzucił, podlegała temu, który wdzierał się na jego miejsce brutalnie i niesympatycznie.

Odgarnęła włosy i otarła nos dość nieczystą chusteczką.

– No... to zresztą dobrze!

Zaskoczyło to już Krajewskiego. Zaczął się pograżać w jakieś niewyraźne sfery. Zdawało mu się, że Stefka oddala się od niego, spowija w mgłę, staje niedościgłą „k o b i e t ą”.

Nagle znalazła się przed nim gotowa i bierna. Zbliżył się machinalnie. Wyciągnął rękę ku guzikom bluzki. Ona przymknęła oczy i nagle przez zęby wyrzuciła:

– Może byśmy jeszcze poczekali...

Ogarnął go śmiech i zadowolenie. Doprawdy, że ta miłosna sprawa zaczynała go śmieszyć i nudzić.

– Zaczekajmy.

Usiadł znów obok niej i palił papierosa. Zauważył, że była bardzo zziębnięta. Płaszczyk prawie letni leżał koło niej. Wyciągnął rękę – dotknął. Odzienie było ledwo wystarczające na jesienne słoty.

– Dlaczego panna Stefcia tak lekko ubrana?

Wzruszyła ramionami.

– Za co?... dawno już się zbieram, są gotowe watowane podszewki. Raz, dwa – podszyć można w godzinę plecy, piersi i gotowe. Ale to kosztuje parę reńskich, bo to na atlasie robią. Zebrać się trudno.

Krajewskiego ogarnęła dobroć. Wykwitła nagle na tle zamierającej namiętności. – Wstał i wziął płaszczyk.

W kamienicy mieszkała krawcowa.

– Proszę tu siedzieć! – wyrzekł szybko.

– Co? pan?...

– Nic, nic...

Wyszedł, drzwi na klucz zamknął i klucz wziął. Przeszedł ganek i zastukał do drzwi szwaczki. Zaduch go owionął. Pochylona, stara panna siedziała przy maszynie. Zdziwiona patrzyła na Krajewskiego rybimi oczyma. Wytlumaczył jej o co chodzi. Jakiś uśmiešek przesunął się po wybladłych wargach kobiety. Widocznie osądziła dziwnym ten sentymentalizm bladego, inteligentnego i ślicznie ułożonego urzędnika od „podatków”. Lecz – skłoniła głowę i chę-



nie podjęła się migawkowej roboty, przyrzekając podszyć plecy i piersi watą najdalej za dwie godziny.

– Skoczę na rynek, do Frenklowej, tam dostanę gotową podszewkę...

– Proszę, tu pieniądze. To dla mej kuzynki ze wsi, zaraz odjeżdża.

– Dobrze, dobrze.

Coś fałszywego prześlizgnęło się pomiędzy nimi.

W tym mieszkanku szwaczki znać było nędzę złego sezonu, brak roboty i chęć podjęcia się byle czego, aby zarobić jutro na trochę cieplej stawy...

Krajewskiemu zdało się, że nadużywa właśnie tej sytuacji, dając taką pracę, dobry jego „uczynek” wydał mu się zbyt cenny.

– Ja tu przyjdę za dwie godziny!

– Tak, tak – proszę!

Gdy Krajewski wyszedł na ganek, chciał skierować się ku swemu mieszkaniu, ale jakby go coś powstrzymało.

– Nie. Nie chcę jej! – pomyślał. – Za taką nędzę, trochę waty na zziębnięte plecy, nie... to niepodobna!

I poszedł chodzić po ulicach oślizgłych od błota, jakiś smutny i pełen melancholii.

## V

We dwie godziny – równo – znalazł się w mieszkaniu szwaczki.

– I cóż? – zapytał.

Szwaczka ukazała mu popruty płaszczyk Stefki i kawałki przykrojonej podszewki.

– Niegotowe!

– Nie. Dostać nie mogłam. Dopiero wróciłam.

Uczuł jakąś niecierpliwość.

– A więc? kiedy?

– Za godzinę.

– Ale... już z pewnością.

– Widzi pan, że robię.